

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE

Powieść z dni ostatnich

37

— On mnie chyba nigdy nie kochał? — błysnęła jej myśl rozpaczna.

Coś się w Józii przeistoczyło, zmartwiała, zalamano. Nie zapłakała nawet, taka w nią wstąpiła dzika, ponura zacieteość.

Odelegowała: „Nie wrócę — nie przeproszę”.

Zaraz tego samego dnia oświadczyła ojcu, że nie będzie mu dłużej ciężarem, bo poszuka sobie pracy zarobkowej.

Ale na to nie zgodził się Maliniewicz. a raczej Maliniewiczowa. Ta kobieta miała jedno niewzruszone bożyszcze — „opinię”. Wyflumaczyła więc mężowi, że skandal trzeba „zatuszować” i że Józia musi wyjechać z Krakowa. Nie można pozwolić, aby w swej nieokreślonej roli ni to mężatki, ni to rozwódki, chodziła po mieście i żebrała o pracę. To nie wypada! Coby ludzie na to powiedzieli!...

Radczyńni przemogła nawet swoje skąpstwo i zgodziła się, aby Józia dać na podróż i jakąś jeszcze niewielką kwotę na dodatek. I niech jedzie do ciotki!

Józia blada, milcząca, chmurna — nie oponowała. Pieniądże wzięta, nie dziękując, wsiadła na pociąg i pojechała — tylko nie do ciotki, ale do Lwowa.

Ułożyła sobie, że tak będzie najlepiej. Niech nikt nie wie, gdzie ona się obraca. Nie chce niczyjej pomocy, niczyjej opieki. Sama odtąd radzić sobie będzie.

Nie zawiadomiła o swoim postanowieniu nikogo absolutnie. Nawet do ukochanej przyjaciółki, do Anielki Walczakowej, nie napisała ani słowa.

Po przybyciu do Lwowa szczęście sprzyjało jej o tyle, że odrazu pierwszego dnia znalazła ten stosunkowo nie drogi pokój. Właścicielka mieszkania spoglądała na nią wprawdzie trochę podejrzliwie, pytała o zajęcie, o „mamcią” i „tacię”, kiedy jednak Józia zapłaciła jej za cały miesiąc z góry, uspokoiła się.

A potem zaczęło się poszukiwanie pracy — mozolne, uciążliwe, pełne gorzkich upokorzeń i rozczarowań. Józia miała sposobność przekonać się, że nie tak łatwo jest jej zdobyć samodzielny kawałek chleba i że po troszę mieli rację ci, którzy twierdzili, że ona jest do niczego.

Przez kilka dni błąkała się bezplanowo po mieście, którego nie знаła. Gdzie się obrócić, jak właściwie szukać tego upragnionego zarobku nie miała pojęcia.

Przezwytykając nieśmiałość, wchodziła do rozmaitych sklepów i więznym w gardle głosem pytała.

Spoglądano na nią z pewnym zaciekawieniem, ale i z pewną nieufnością.

Najczęściej słyszała odpowiedź:

— Nie potrzebujemy. Niema u nas wolnego miejsca.

Gdźieniegdzie pytano ją, co umie, w jakim dziale dotychczas pracowała, żądano świadectw, poleceń. I znowu odchodziła z niczem.

W jednym sklepie ofiarowano jej bezpłatną praktykę, w innym właściciel zaczął jej mówić takie komplementy że uciekła, jak oparzona.

Kupiła sobie gazetę, czytała chciwie w ogłoszeniach rubrykę: „Prace zaoferowane” i szła pod podane adresy. Napróżno jednak.

Soaralizowana staruszka, poszukująca lektorki i towarzyszk, oświadczyła, że reflektuje na poważniejszą osobę.

— Za młoda pani jesteś... za ładna i pewnie roztrzępana... Myślałabyś o chłopcach i zabawach, zamiast o swoich obowiązkuach.

W jakieś pralni wysłano Józję prosto. I wszędzie spotykała się z odprawą mniej lub więcej grzeczną.

W trzecim dniu tych męczących poszukiwań przeczytała szyld: „Biuro pośrednictwa służby”. Bez wahania zgłosiła się tam. Właścicielka zażądała narzód dwóch koron wpisowego. Kiedy Józia zapłaciła, podano jej adres jakiejś pani, która poszukuje „lepszej” służącej do dzieci.

Poszła bardzo chętnie boć za dziećmi przepadała zawsze. Pani zapytała o książeczkę służbową, a posłyszawszy cichą, drżącą odpowiedź:

„nie mam”, zmarszczyła się z niezadowoleniem. Uważnie przyjrzała się twarzy kandydatki, jej ubraniu i białym delikatnym rąkom i powiedziała:

— Nie. Panienska nie dla mnie... nie do takiej roboty.

— A do jakiejże ja roboty właściwie jestem? — myślała Józia już prawie z rozpaczą — Czyż nic nie znajdę... I co pocznę!...

Nieprzyzwyczajona do samodzielnego wydatkowania, nie umiała gospodarować skromnym zasobem swojej gotówki. Prerażona była drożyzną, z którą po raz pierwszy zetknęła się bezpośrednio, ale mimo to nieopatrznie rzucała pieniędzmi. Topniały poprosu w jej ręku, choć nawet nie zjadła porządnie. Groziła jej ewentualność, że w najbliższym czasie zostanie bez grosza, bez środków do życia — sama w obcym mieście.

Nie przyszło jej jednak przez głowę, że mogłaby upokorzyć się, wrócić do Łykowa lub pojechać do ciotki. Uparła się, zacięła.

Miała jeszcze tylko parę koron w kieszeni, kiedy przechodząc koło cukierni Musiałka, spostrzegła kartkę przyklepioną na szybie: „Potrzebna panna do ekspedycji”.

Weszła, choć już niewiele miała nadziei i posadę otrzymała!

Obie strony były wielce zadowolone z układu. Józia uszczęśliwiona, że znalazła nareszcie jakieś oparcie, a Musiałek zacierając ręce z radości, bo nowa ekspedientka zgodziła się na pensję o połowę mniejszą niż biała jej poprzedniczka.

Przytem wy kombinował sobie chytrze, że taka ładna dziewczyna będzie przyciągać „fajnych” gości.

Odtąd zaczęło się dla Józii życie monotonnej pracy, bezustanna krętanina w deptaku.

Przez cały dzień bywała tak zajęta, że nie miała czasu na żale i wspomnienia.

Tylko w nocy... Ach! te okropne noce.

Zegar na wieży bił północ, a Józia jeszcze nie spała.

## ROZDZIAŁ XIX

Pewnego dnia Józia, wysłana przez Musiałkównę po jakiś sprawunek, spotkała na ulicy Kornelię Rogoziewiczową. Nie poznała jej zdaleka i opatrzyła się dopiero wtedy, kiedy tuż przed sobą ujrzała fatalnie brzydką twarz w obramowaniu prześlicznych, bujnych, bladoczerwonych włosów.

Kornelia powitała ją okrzykiem zdziwienia:

— Panna Józia tutaj, we Lwowie?!

Po swoim poczciwie i wesoło uśmiechnięta podała Józii rękę.

— Prawda, że to już nie panna, ale pani Józia. No, nie miałam sposobności pogratulować zaraz po ślubie, to teraz składam jak najserdeczniejsze życzenia... Lepiej późno, niż wcale... — zaśmiała się.

Po twarzy Józii przeleciał płomień. Gdyby ta kobieta wiedziała, jak bolesną ironią są jej nie-wczesne życzenia.

— Dziękuję pani! — wyrzekła z przymusem — A cóż u pani słychać? Mąż zdrowy?... A dzieci...

— Mąż teraz dużo zdrowszy... Tadek i Zosia łobuzują, a Stefka... no jak Stefka... Zdaje się, że za panią tęskni, bo często wspomina.

Rogoziewiczowa mówiła jakby z roztargnieniem. Rybie jej wypukłe oczy z wyraźnym zdumieniem spoglądały na Józję. Młoda mężatka wydawała się jej niezwykle zmieniona.

Nie dość, że zmizerniała na podziw, wychudła i pobladła, że miała podkrążone oczy i sieci niebieskich żyłek na skroniach, ale skąd to przysgale, apatyczne spojrzenie, małowy dźwięk głosu, ociężałe ruchy, skąd ten bolesny wyraz ust, które siraciły świeżość i barwę szkarłatnego kwiatu.

To jakby nie ta Józia — wiosna, która w śnieżną zawieruchę przynosiła z sobą we włosach zapachy kwiecia, w uśmiechu radość życia, w oczach blask słońca i błękit nieba. Co się stało z tą dziewczyną tak żywą, rezolutną, śmiałą i zalotną?

Szczęście nie spogląda takimi oczyma... — pomyślała Kornelia i żal się jej zrobiło Józii.

— Pani niezdrowa? — zapytała z akcentem szczerzego współczucia.

— O nie! Przeciwnie, jestem zupełnie zdrowa! Ale przepraszam, że pożegniam panią... spiesz mi się.

— Pan mieszka stale we Lwowie?

— To jest niby... tak... ja właściwie tylko chwilowo... — bąkała Józia — Do widzenia pani. Proszę pozdrowić męża... ucałować dzieci...

Strasznie jej było spieszno pożegnać się. usunąć się z pod badawczego spojrzenia Rogoziewiczowej.

— A cioci... panny Korzewskej nie każe pani pozdrowić?

Józia mieniła się na twarzy.

— Tak... tak... naturalnie... zapomniałam. Do-widzenia.

— Dowidzenia.

Józia pomknęła dalej, a Kornelia ścigała ją wzrokiem.

— Coś tu jest niejasnego! — zadecydowała — Ale co mi do tego. Widać i piękne kobiety nie-zawsze bywają szczęśliwe.

Nagle Józia, która uszła już spory kawał drogi zawróciła. Zadyszana od szybkiego chodu podbiegła do Rogoziewiczowej.

— Pani Kornelio... ja... ja do pani mam wielką prośbę!

— Ależ proszę!... Cóż takiego?... Niech pani mówi... Jeśli tylko będę mogła...

— Niech pani nie mówi cioci, że mnie pani tutaj spotkała!

Kornelia nakryła oczy powiekami.

— Dobrze, nie powiem.

— Napewno?

— Napewno — odpowiedziała tamta, postawiając jednocześnie w duchu, że postąpi wręcz odwrotnie.

— Dziękuję pani, bardzo dziękuję.

Pożegnały się po raz drugi. Kornelia obojętnie uśmiechnięta, Józia zmieszana i rozgo-rączkowana.

Ażeby spełnić polecenie swojej chlebodawczyni, Józia musiała przedostać się na drugi chodnik. Zeszła więc na środek ulicy. Wzburzona spotkaniem z Rogoziewiczową, nie bardzo zważała na tramwaje i dorożki.

— Z drogi! — wrzasnął jej nadle nad uchem woźnica, śmigając w powietrzu batem.

Uskoczyła w bok tak gwałtownie, że o mało co nie upadła. Podniosła przytem głowę i zobaczyła, że w dorożce siedzi wyelegantowany, uśmiechnięty, w cylindrze, z cygarem w ustach nie kto inny, jak Potyrowski! Aż się zatrzęsała z oburzenia.

— To taki podły człowiek jeździ sobie dorożką elegancko ubrany! Widać powodzi mu się znowu dobrze. I co to za sprawiedliwość na świecie!...

Prędko jednak przestała myśleć o Potyrowskim, bo ogarnęła ją trwoga, że zbyt długo bawi na mieście. Co powie pani Musiałkówna?

— — — — —  
— Był tutaj jakiś pan i pytał o panią — powiedziała do Józii jej gospożyni.

— Pytał o mnie? Ależ to chyba pomyłka!

— Wyrażnie pytał o panią Józefę Zarnicką. Chciał wiedzieć, kiedy pani bywa w domu. Powiedziałam, że pani wraca późno wieczorem, a rano zaraz wychodzi do zajęcia.

— A on co?

— A no nic, podziękował i poszedł.

Józii serce zakolało szaloną nadzieją. A może, może...

— Nic więcej nie mówił? Nie zostawił żadnego biletu?

— Nic nie zostawił. — Gospożyni szaremi, chytremi oczkami wświdrowała się w twarz swej lokatorki.

— A... a jak wyglądał? Stary, młody, brunet z czarnymi oczyma, wysoki? — pytała gorączkowo Józia.

Po ustach tamtej wiał się złośliwy uśmieszek.  
— Tak sobie... Dość młody... Ale nie brunet i nie wysoki... I żeby tak prawdę rzec, nie bardzo przystojny.

— To nie Konrad — chwilowy płomień przysgał w oczach Józii.

— Nie wiem, kto to taki — rzekła po chwili już obojętnie — ale wszystko jedno. Dziękuję pani. Dobranoc.

Gospożyni odeszła, mrużąc pod nosem z niechęcią:

— W cukierni jest, a żeby choć kiedy ciastko albo cukierek przyniosła Nieużyta...

Pierwszą osobą, którą Józia nazajutrz rano, po wyjściu z domu zobaczyła, był... Stobiński. Domyśliła się odrazu, że to on pytał o nią. Gorzkie rozczarowanie uderzyło jej do głowy falą gniewu.

Węc to ten wstrętny, szkaradny człowiek ją odnalazł?!

Wciąż Stobiński z bardzo pewną miną podszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)